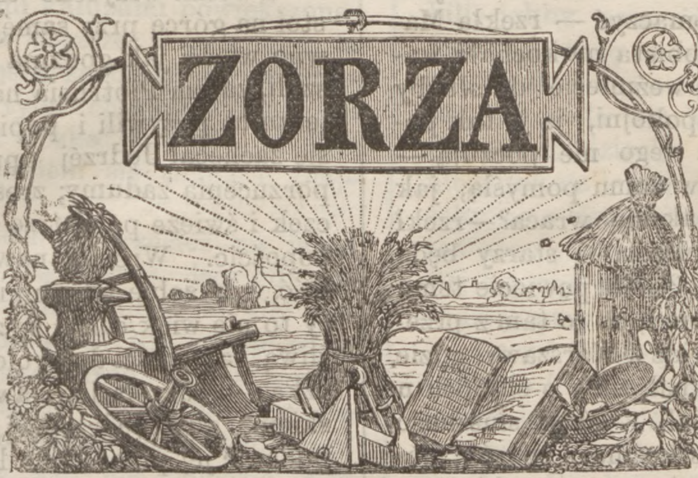
№ 10.

Rok 3.

CENA:

w Warszawie:
miesięcznie kop. 15 Złp: 1
w Królestwie i Cesarstwie pod opaskami
kwartalnie kop. 62. (Złp. 4 gr. 4.) półrocznie rs. 1 kop. 24. (Złp. 8 gr. 8.) rocznie rs. 2 kop. 48. (Złp. 16 gr. 16).
W kopertach półrocznie rsr 1 kop. 70. (Złp. 11 gr. 10). rocznie rs. 3 40, (Złp. 22 g. 20).



WARSZAWA
24 Lutego
7 Lutego
1868 r.

Prenumerować można
Zorzę:
w Warszawie w Redakcji Nr. 24 (nowy) ulica Nowy-Świat. — na prowincji w Królestwie: po Stacjach pocztowych. W Cesarstwie po Stacjach pocztowych lub za zgłoszeniem się listownem do Redakcji w Warszawie. (Nr. 24 ulica Nowy-Świat) końcową należność można nadsyłać markami pocztowemi.

PISMO NIEDZIELNE
DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

„Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch Boży,—A całość sama się złoży.“—*Kazimierz Brodziński.*

ZWODZIJASZ.

POWIASTKA.

(*Dalssy ciąg*).

Część II.

Co Marysia i Jędrzéj rozmawiali drogą o Staśku,— i co narobiła w lesie gruba mgła jesienna?

Ale co my z tém dzieciuchem w drodze poczniemy? — rzekł po chwili milczenia Jędrzéj. To mu zimno będzie, to mu się jeść zachce, to go uśpić trzeba bedzie wieczorem, a jutro znowu ogarnąć, a nie chciałbym tém zatrudniać kobiety nieznajoméj mi jeszcze, coby sobie gotowa pomyśleć, żem może zabardzo zaufany w sobie na pierwszy raz.

— Właśnie téż, widzicie Jędrzeju, żeć wy jéj inaczéj nie poznacie, tylko po tém, jak wam będzie rada, albo nie rada. Wierzcie mi. A zresztą, jeżeliby miała wzgardzić waszym chłopcem, to ja pójdę jutro rano do niéj ogarnąć go i wezmę go ze sobą na pole. i będę go cały dzień bawiła, żeby mu czego nie brakło.

— Sprzykszy ci się, moje dziewczę, i będzie ci nie na rękę, bo to cały dzień, to okrutnie długo. — Właśnie że nie, weseléjby mi było na pierwszy dzień między cudzymi. Zdałoby mi się, żem jeszcze u swoich.

Dziecko widząc, że Marysia trzyma jego stronę, uczepiło się mocno jéj spódnicy,—a jak zrozumiało, że już ojciec przyzwalał, złapało swemi ogorzałemi rączkami rękę Marysi i całowało ją, wyskakując z radości i drąc się do siwki z gwałtowną, jak to u dzieci, niecierpliwością.

— No, no—rzekła dziewczyna, podnosząc go do góry. Teraz już trzeba ukoić to biedne serduszko, co skacze jak ptaszek, a jakby ci zimno było wieczorem, to mi tylko powiedz, to ja cię odzieję moją katanką. Terez zaś pocałuj ojczulka i przeproś ich za to, żeś był niegrzeczny; a powiedz, że już tego nigdy robić nie będziesz, rozumiesz, że nigdy.—Ba i dobrze, bylem ja zawsze robił, tak jak on chce — rzekł ojciec obcierając połą oczy małego.—Oj Maryś, ty mi go docna popsujesz, tego hultaja. Boś téż ty na prawdę za dobra,—oto, i nie wiem czemu nie chciałaś wprzód przystać do nas na pastuszkę, niż tam do jakiegoś Gotliba. Doglądałabyś mi nieraz dzieci, a jabym ci wolał za to zapłacić, niż jechać szukać kobiety, co sobie pomyśli może, że mi łaskę uczyni, jak ich tylko nie będzie lubiła.

— Nie trzeba-bo znowu zaraz wszystkiego na złe sobie tłómaczyć — rzekła Marysia—jakby wasza kobieta nie kochała waszych dziatek, to mię weźmiecie do służby na bezrok i bądźcie spokojni, ja je tak potrafię zabawić, że nic tego nie poczują.— Ale, co oni tam sobie w domu pomyślą, jak zobaczą, że ten chłopak nie wraca?—rzekł Jędrzej śmignąwszy biczem — starzy będą go niespokojnie szukali?—Ot, powiecie temu staremu Kwiatkowskiemu, co to tam z przechyloną główką wraca już z Warszawy, gdzie sługi do służby prowadził, żeby o chłopcu u was w domu powiedział. — Masz słuszność Marysiu—ty na wszystko masz sposób, jabym był i nie dojrzał tego przygarbionego staruszka, co tak chyłkiem nad rowem bieży.

Za zrównaniem się z owym Kwiatkowskim, powiedział mu, co zaszło, żeby o tém dał znać w domu, i cmoknąwszy na siwkę, pomknął szybko dalej, a Stasiek tak był uradowany, że zapomniał nawet, iż jeszcze nie jadł obiadu. Ujechawszy już z milę, począł ziewać, pobladł i nareszcie wyznał, że mu się jeść chce okrutnie.

— Otóż go masz—rzekł Jędrzéj—wiedziałem ci ja, że i jeść i pić wołać będziesz niedługo.—A juścić mi się i pić chce—rzekł Stasiek.—Trzeba będzie wstąpić ot w Cierpiętach do karczmy, alec to tam podobno prawdziwe cierpięty! pożal się Boże, czy tylko czego tam dostanie? Ale co będzie, to zjemy, i ty Maryś musisz się trochę posilić, boć ty moje dziewczę, chleb swój dałaś rano Staśkowi, a i na południe nic jeść nie chciałaś od płaczu.

— Wy Jędrzeju zejdźcie ze Stasiem, ja popilnuję kobyły, bo mi się niczego nie chce od téj całéj markotności.

— Choćby ci się jeść nie chciało, moja miła, to wszelako musisz co zjeść, bobyś mi mogła zasłabnąć.

— Toć droga nie tak daleka — rzekła Marysia.

— Ba! jeszcześ to kawał duży, a nie można przecie przyjechać o głodzie, tak, że nie wiedzieć co pierwéj, czy: niech będzie pochwalony—powiedzieć, czy o odrobinę chleba poprosić. Chodź, chodź Marysiu, ja kobyłę dobrze uwiążę, a co prawda, to i mnie pan głodziński przypomina się ze swoją znajomością.

I weszli wszystko troje do karczmy, co stoi na górce przy saméj drodze. Zeszło pewno więcéj jak godzina czasu, nim daléj ruszyli, zanim Piotrusia napaśli i sami się jajecznicą pożywili i popili ją piwem. Marysię zachęcał Jędrzéj uprzejmemi słowy do porzucenia zadumy; zresztą siedmnasty roczek i świeże powietrze nie dały jéj dłużéj popościć. Wróciła nawet jéj dawna wesołość, gdy sobie wspomniała, że óśm miesięcy to nie wiek cały, że znowu będzie szczęśliwą, jak wróci do swoich, do swego miasteczka,—i zaczęła już nawet swawolić ze Staskiem, gdy Jędrzejowi przeszło przez myśl pokazać jéj przez okno las, który niedawno przejechali, a za którym możnaby jeszcze obaczyć Węgrów, a nawet domek jéj matki Magdaleny.—Marysia westchnęła i znowu zaczęła płakać, — boć to pierwszy raz w swém życiu tak daleko od matki w świat się puściła.

— Czy mię złe skusiło, żem ci to przypomniał—odezwał się Jędrzéj—same tylko głupstwa dziś mi się szykują! No, cicho Maryś, trzeba nam dalej jechać, dzień nie długi, a za godzinkę, jak tylko miesiąc wejdzie, to będzie i chłodno.

Ruszyli więc, przebyli jeszcze parę wiosek, jadąc piaszczystym gościńcem, i słońce już było zaszło, gdy zrobiwszy trzy mile drogi, zjeżdżali z szerokiéj drogi przed samym Kałuszynem i zapuścili się boczną dróżką w las ciemny.

Jędrzéj znał tę drożkę, bo nią kiedyś jéździł za kupnem węgli do swojéj kuźni, choć znowu do owego stawu nie dojeżdżał jeszcze nigdy; ale zdało mu się, że za długo już jadą prostą drogą, nie napotkawszy jeszcze ani owych trzech rozstajnych dróżek, ani krzyża, ani też stawu, o którym go teść Łukasz upominał. Krótko mówiąc, nie spostrzegł się wcale, że i owe trzy drożki i staw Zwodzijasz zostawił het! po za sobą, a tém samém w przeciwną stronę owéj kolonji Gotliba pojechał.

Główną przyczyną tego wszystkiego była mgła, która równo ze zmierzchem powstała. Mgłę jesienną, wieczorną, światło księżyca robi tém bardziéj zwodniczą, przeto ni ztąd ni z owąd Jędrzéj zjechał na jakiś leśny dukt, myśląc, że wciąż jedzie dro-

gą. Nad ogromnemi kałużami powiększonemi przez niedawne deszcze, w lesie mgła ta stawała się tak gęstą, że kiedy siwka przez nie brodziła, to tylko chlapanie nogami i wżynanie się kół wózka w błoto, przekonywało ich, w jakiem się miejscu znajdują.

Nareszcie wyjechali przecież na jakąś prostą, dość szeroką dróżkę, lecz gdy na końcu téj dróżki Jędrzéj obejrzał się, dopiero poznał, że pobłądził. Nie widząc więc, ani owych rozstajnych dróg, ani krzyża i stawu, stanął i oglądał się dokoła, czy nie ujrzy gdzie jakiego światła z chałupy; poczekał trochę, czy kto nie pojedzie, a w końcu nie doczekawszy się niczego i nie mogąc się w żaden sposób pomiarkować, wrócił do lasu tą samą dość szeroką dróżką. Lecz mgła robiła się coraz gęstszą, księżyc już zupełnie zciemniał, droga stała się okropną, kałuże głębokie. Wózek dwa razy tylko co się nie przewrócił; już i siwka zaczęła się coraz więcéj z utrudzenia potykać, a lubo sama zdołała jeszcze wymijać drzewa, to jednak temu zapobiedz nie mogła, żeby ci, co na wózku siedzieli, nia dostawali często-gęsto wystającemi gałęziami po oczach. Przy jedném takiém powitaniu się niemiłem, Jędrzéj stracił czapkę i ledwo ją odszukał; Stasiek zaś usnął w najlepsze na kolanach Marysi.

— Żebym wierzył w czary, czy co takiego—rzekł nareszcie Jędrzéj, zatrzymując konia,—to myślałbym, że nas jakie licho zwodzi; boć las nie taki duży, żebym miał błąkać się po nim, chyba po pijanu, a już pewnieze dwie godziny po nim w kółko kręcimy, nie mogąc nijak wyjechać. To i widać nie darmo ten staw przy rozstajnych drogach Zwodzijaszem nazywają. A siwce tylko jedno we łbie, jakby do domu wrócić i przez nią to takeśmy zbłądzili; chcąc nazad wrócić, toby ją tylko puścić; ale komuby się chciało, kiedy może nie ma i staja do noclegu; trzebaby chyba oszaleć, żeby się wracać i nanowo potém całą drogę odbywać. A jednak już wcale nie wiem, co począć, nie widać ni nieba, ni ziemi, ciemno choć oczy wykól! Boję się, żeby mi dzieciak nie przeziąbł w téj mgle przeklętéj; albo żebyśmy go jeszcze gdzie o drzewo nie rozbili, jakby nam się kobyła przewróciła, co już i tak nogę za nogą wlecze...

— Bo też nie trzeba się upierać, Jędrzeju—odezwała się Marysia. Zesiądźmy oto i dajcie mi dziecko na ręce, ja wam go poniosę jak najlepiéj i poradzę sobie z niém, żeby się z katanki mojéj nie rozkrywało. Wy zaś prowadźcie siwą za cugle, a będzie jéj lżéj ciągnąć wózek i wy snadniéj będziecie widzieli przy ziemi.

Lecz i to nie pomogło; tyle tylko, że uchroniło ich od wywrócenia; widzieć zaś nie można było, gdyż mgła wlekła się przy mokréj ziémi, jakby się od niéj oderwać nie mogła. Piechotą też iść było prawie niepodobna. Jakoż wkrótce tak się pomęczyli, że mimowolnie stanęli, spotkawszy trochę suchsze miejsce pod wielkiemi, staremi dębami. Marysię pot oblewał; lecz ona, ani się żaliła, ani turbowała niczém; zajęta jedynie dzieckiem, usiadła na mchu i położyła je sobie na kolanach, a Jędrzéj tymczasem wyprzągł siwkę, przywiązał ją do wózka i rzucił jéj garść siana, przepatrując miejsce, w którém się zatrzymali.

Lecz siwka uwinąwszy się szybko z garstką siana, znać znudzona na oczekiwanie dalszego posiłku, targnęła raz i drugi cuglami, zciągnęła sobie uzdeczkę i wierzgając zadem, ruszyła pomiędzy krzaki.

— Masz do licha! — rzekł Jędrzéj—po różnych usiłowaniach, żeby ją dogonić,—teraz zostaliśmy wszystko troje na piechotę, i jak tu iść daléj, kiedy dokoła takie mokradła i niewiedzieć, gdzie drogi szukać? To i trzeba pewnie czekać, aż mgły się rozejdą. Za godzinę albo co najwięcéj za dwie, to ich nie będzie. Jak tylko będzie można widzieć, poszukamy sobie byle jakiéj chałupy pod lasem,—toć tu jakiś dół, staw czy przepaść prosto przed nami, a za nami też licho wie co?—nie mogę wiedzieć.

— Ha! to trzeba i czekać—rzekła Marysia. Nie tak ci tu źle na téj góreczce. Deszcz też choćby padał, to tutaj nie dojdzie; możemy sobie rozpalić ogień, bo oto namacałem tu suche gałęzie, co się będą galanto paliły. Wy też macie pewnie krzesiwko, Jędrzeju, bom widziała, żeście kurzyli fajkę jadący.

— A, prawda, że mam, i byle tylko tro-

chę suchych gałęzi człek znalazł poomacku, to się i ogrzejemy i wysuszymy ze wszystkiem.—Żeby tak o co jak o suche gałęzie—rzekła Marysia—a toć aż trzeszczą pod nogami; tylko dajcie mi tu najprzód waszą burkę.—A na co tobie burki potrzeba?—A chłopca okryć, żeby sobie usnął na wozie. Złóżcie tylko we dwoje tę derkę i wzbijcie słomę pod głowę; a teraz pod boki, tylko dobrze, żeby biedna dziecina nie spadła z wózka,—jeno pomagajcie! No teraz, to już będzie spało, gdyby w domu na łóżku, a co mu ciepło, to ciepło.—Dalibóg, że prawda, jak ty umiesz koło dzieci zrobić, Marysiu.—Bo też to co trudnego może! Wydobądźcie teraz jéno krzesiwo, a ja gałązek nazbieram.

— Gdzie one się tam będą chciały palić, takie mokre?—Już to wy to ze wszystkiem na złe myślice; a czy to nie wiecie, jak to za bydłem pastusi ogień palą na polu?—Ba! toć to tylko pastuszki umieją, a ja tam tego nie robił nigdy, bo ledwom chodzić umiał, to zaraz do młotka się brałem.—Nieczemu też to teraz macie więcéj mocy w ręku, niżli zręczności. Jam już drzewa nałożyła, zobaczycie, czy się palić nie będzie; dajcie jeno ognia i trochę suchéj paproci. Teraz dmuchajcie tylko, toć wam tchu jeszcze nie zbraknie. — Może że i nie — rzekł Jędrzéj, dmuchając jak miechem kowalskim.

Wkrótce zabłysnął płomień, zrazu czerwony, lecz niedługo, zaczął wznosić się pod gałęzie dębu w niebieskawych kłębach, przedzierając się coraz wyżéj przez mgłę i osuszając powietrze w około.

— Teraz ja wózek trochę odwrócę, bo skry lecą ku chłopcu, a wy Jędrzeju tylko dokładajcie na ogień, to nam się pewnie nic nie stanie.—Dalibóg, że z ciebie walna dziewucha, Maryśku, a ogień rozniecić, to ci się oto szykuje, jakby u mnie w kuźni nieprzymierzając. Toć i weseléj jakoś człeku; boć też zmaczanego do pasa a i myślącego, że tak trzeba będzie aż do rana zostać, to aż złość człowieka ogarniała.—A właśnie też to najgorzéj, że jak człek w złości, to i radzić sobie nie umie.—Albożznowu się ty już nigdy nie gniewasz, Marysiu?—Bo nigdy! Na co się to zdało?—Zapewne, ale cóż poradzisz, jak człeku bardzo co dopieka? A przecież to i ty nieboże dużoś się już wycierpiała na świecie?—To prawda! aleć nas nigdy z matulą moją Bóg najwyższy nie opuścił i my téż starałyśmy się, jak mogły.—Oj, i mnieby robota nigdy się nie sprzykszyła, ale bieda to chyba zalazłaby mi już za skórę; boć jak żyję, jeszcze nigdy nie zbrakło mi na niczém. Moja nieboszczka mnie téż zbogaciła niezgorzéj i zawsze mi będzie dobrze, póki tylko będę miał zdrowe ręce do kowadła i młota. Ale mimo to, każdy mieć musi swoje, co go boli!....—Toć prawda, kiedy was wasza odumarła, że jéj się odżałować nie mogą.—A boć to nie żal, mój Boże?

— Oj, dosyćem ci i ja jéj płakała, mój Jędrzeju, bo też to saméj dobroci kobiecisko była.—Bo ona cię téż serdecznie lubiła, Marysiu, a i matkę twoją szanowała... Już to i płaczesz, Marysiu! no, no, cyt, moje dziewczę, bo ja téżbym płakać nie chciał...

— A toć oto płaczecie i wy, Jędrzeju, a czyż to wstyd jaki, czy co, dla człeka, płakać swéj żony. Toć nie zadawajcie sobie gwałtu przedemną, płaczcie dowoli; ja też ją wespół z wami żałuję.

— Boć i ty masz dobre serce, dziewczyno, toć aż lżej z tobą popłakać. Ależ się przysuń przecie do ognia, boć i ty Maryś przemiękłaś ze wszystkiém. Teraz ja postoję przy dziecku, a ty się obsusz trochę.

— Kiedy mnie i tak ciepło—odpowiedziała Marysia—a zresztą dzieciak śpi jak zabity, to ja sobie usiądę z téj strony, blisko niego, i wy téż niepotrzebnie stoicie, Jędrzeju. — To i lepiéj usiąść, niźli stać — rzekł Jędrzéj—siadając tuż przy dziewczynie—dobrze mi teraz przy ogniu, tylko głód jakoś trochę mnie morzy. Toć musi już być pewnie koło dziewiątéj godziny, a człek się uchodził po takiéj okrutnié złéj drodze, żem aż z sił opadł. A tobie się to jeść nie chce, Marysiu?

— O, jam-ci nie taka chciwa na jadło, nieraz i bez wieczerzy się kładłam, to i ten raz mi nie dziwno będzie.—A toż to święta rzecz, ja powiadam, taka jak ty Marysiu kobieta, ni zjé, ni wypije, to i nie wiele na nią wyjdzie...—rzekł Jędrzéj z uśmiechem.—Bom ja to znowu kobieta—rzekła niewinnie Marysia—czy wam się śni, czy co, Ję-

drzeju.—Ha! może téż to i z głodu tak człek od rozumu odchodzi—odpowiedział Jędrzéj.

— A! to z was istny nienasytek, Jędrzeju!—rzekła dziewczyna nieco weseléj,—toć macie zwierzynę w worku, kiedy już nie możecie wytrzymać.—Dalibóg! dobrze mówisz; ale podarek dla nowego teścia?—Toć macie pono ze sześć kaczek i zająca, a wszystkiego może nie zjecie?—Ale co poczniesz bez żadnego statku, toć się spali na węgiel.

—Co nie, to nie—rzekła dziewczyna—dajcie, ja wam to suma upiekę, tak co i dymu nawet nie poczuje; nie zbieraliście to nigdy młodych wróbli, albo czajek po łąkach i nie piekliście ich między dwoma kamieniami? Bodajto! kiedy zawsze zapominam, żeście wy pastuszkiem nie byli. Zabierzcież się jeno skubać oną kaczkę, a tylko mi jéj nie szarpcie, bobyście jéj skórę pozdzierali,—e! dajcie to tu lepiéj, a tymczasem dołóżcie gałęzi na ogień.—Ja bo tylko do gotowego—rzekł Jędrzéj wesoło.—Widzicie, już oskubana, teraz tylko upiec.—Dzielna z ciebie byłaby żołnierka, baryłki ci tylko brakuje, to też trzeba będzie się z kałuży napić.

— Możebyście się piwka napili, albo co lepszego; wam się zdaje, żeście na jarmarku w Węgrowie! Zawołajcie na Lejbkę: hejże piwa dla Jędrzeja Kowalskiego, majstra z Węgrowa. Ale ja prędzéjbym wam usłużyła; jak sobie zasłużycie, to wam go może postawię z butelkę i dobrego!..

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZYPOWIASTKI

Bocian i Gęś.

Bocian, który musi nosić
Z bagien dla swych piskląt strawę,
Widząc, że dla gęsi dosyć
Wyprowadzić je na trawę,
Rzekł: czemuż to żer ten dziatwy
Mnie tak trudny, *gęsiom* łatwy!

Kruk i Świnie.

Gdy o wiszące żołędzie na Dębie
Gryzły się świnie, jak gdyby przy gębie
One już miały. Kruk co na nim siedział,
Taką im prawdę w tym względzie powiedział:
Czyż nie szaleństwo kłócić się o działy,
Kiedy żołędzie jeszcze nie zleciały?

F. Mikorski.

CUDOWNA POTĘGA

RYDLA I PŁUGA.

(Ciąg dalszy).

Skoro więc ta *szczęśliwość*, zwana w tejże mowie naszéj *wesołością*, jest tylko cząstką i to najniższą szczęśliwości naszej całkowitéj, jak najniższe są istoty, przez których pielęgnowanie dostępujemy jéj napewniej wraz ze stosownem przedłużeniem naszego życia: więc widoczną jest rzeczą, że na dostąpieniu onéj, a tém samém i na pielęgnowaniu samych tych istot, zwanych w ogólności roślinami, a w szczególności drzewami owocowemi, o których teraz mowa, nie możemy przestawać. Tem mniej zaś nie możemy naszych usiłowań i naszych życiodawczych uczuć na tem ograniczać, że potrzebujemy koniecznie, w usposabianiu ich do wydawania dorodnych owoców i rodnych nasion, pomocy ze strony drobniejszych wprawdzie, ale wyższych od nich, bo zarazem *żyjących* i *czujących* istot, jakiemi są właśnie tutaj *pszczoły*. Istoty te będąc niejako udarowane podwójnem, to jest przez ruch i czucie objawiającem się życiem, są też przeznaczone od Boga do używania i użyczania podwójnéj szczęśliwości, to jest i do takiéj jak rośliny, zwanéj *wesołością*, objawiającéj się na nich nawet podczas ich snu, czyli w stanie ich bezczuciowym, ale jednak ruchowym, i im właściwéj a połączonéj z błogim stanem czucia, to jest nazywanéj w naszéj mowie, jak się rzekło, niewinną *rozkoszą*. Wesołość tych istot jest dopełniającym środkiem do dostąpienia naszéj *wesołości*, bo doświadczenie uczy, że niekoniecznie około pszczół, ale tylko sypiając pomiędzy niemi lub w bliskości nich, zwłaszcza kiedy są zdrowe, a zatém *wesołe*, używamy podobnego im zdrowia i będącéj jego objawem *wesołości*; rozkosz zaś ich niewinna musi być początkowym środkiem do dostąpienia tejże niewinnéj i dla nas także przez Opatrzność boską przeznaczonéj *rozkoszy*. Albowiem, istoty te, wtenczas właśnie takową rozkosz w pełni jéj znaczenia uszczęśliwiającego nas i przedłużającego nam życie

w nas obudzają, kiedy jéj same doznają, np. podczas zbierania miodu z pierwszych kwitnących, choćby takich drzew, jakiemi są wierzby.

Największe łaski boskie zapewnione nam przez zwierzęta.

Po drzewach owocowych i pszczołach czyli w ogólności po *Roślinach i Żyjątkach*, następują w rzędzie pielęgnowanych przez nas i uszczęśliwiających nas stworzeń bożych, takie stworzenia, do jakich należą nasze karpie, gołąbki, owieczki, koniki, pieski, i jakie nazywają się w ogóle zwierzętami. Istoty te udarowane są od Stwórcy potrójnem, to jest przez *ruch*, *czucie* i pojmowanie, a nawet *myślenie*, objawiającem się życiem i do używania potrójnéj przeznaczone są od Niego szczęśliwości, zwanéj w naszéj mowie *wesołością*, *rozkoszą* i *pociechą*, czyli uciechą. Pierwszéj i drugiéj stają się i czynią nas uczestnikami, gdy pielęgnujemy, podobnemi sposobami, jak spółstworzenia ich i nasze poprzedzające: a trzeciéj to jest pociechy, dostępują wraz z nami po nauczeniu się od nas wykonywania dokładnie jakiéj właściwej im pracy lub posługi, np, w strzeżeniu innych podobnych im lub niższych od nich—ich i naszych spółstworzeń. Wskazuje tego na sobie najwyraźniejszy dowód pies nasz biały owczarski karpacki, który już nie samą *wesołość* i *rozkosz*, ale widoczną okazuje na sobie *pociechę*, będącą i naszą własną pociechą, kiedy strzeże powierzonego mu stada, tak podczas spoczynku jego nocnego, jak podczas paszenia się jego na tamtejszych żyznych, ale zewsząd niebezpieczeństwami, szczególniéj ze strony drapieżnych zwierząt otoczonych pastwiskach i przez to ciągłéj czujności, a nawet umiejętności w ich unikaniu wymagających z ich strony.

Największe łaski boskie zapewnione Ludziom przez Ludzi.

Czwarte istoty przeznaczone od Opatrzności do używania i użyczania nam, którzy się zajmujemy ich pielęgnowaniem, właściwych rodzajów szczęśliwości, są właśnie nasi bliźni, czyli jednem słowem *Ludzie*. Istoty te, chociaż podobne do zwierząt i za zwierzęta, przez niektórych ludzi, zwłaszcza nie zajmujących się pielęgnowaniem żadnych zgoła swoich spółstworzeń, poczytywane, różnią się jednak od nich tém, że mogą używać i użyczać poczwórnego, to jest przez *ruch*, *czucie*, *myślenie* i *opatrznościowość*, czyli boskość, albo właściwą ludzkość objawiającego się życia. O pierwszych trzech rodzajach życia i o wymaganych przez nie trzech odpowiednich im rodzajach szczęśliwości, zwanych *wesołością*, *rozkoszą* i *pociechą*, nie wątpimy. Wiemy bowiem, że wszyscy ci nasi bliźni, przez samo pielęgnowanie trojakich dotąd wskazanyeh, to jest że tak powiem, *uweselalnych*, *uweselalno-urozkosznialnych* i *uweselalno-urozkosznialno-ucieszalnych* czyli *roślinnych*, *żyjątkowych* i *zwierzęcych* swoich spółstworzeń, sami stają się, wiadomem nam prawem wzajemności takimi, jakimi, je czynią, to jest wesołymi, rozkosznymi i ucieszynymi; a jeżeli tego dostępują za naszem staraniem i naszym spółudziałem, to przelewają na nas niejako to, czego doznają od tychże *uweselalnych*, *urozkosznialnych* i *ucieszalnych*, oraz *uweselających*, *urozkoszniających* i *ucieszających* swoich spółstworzeń. O pierwszych trzech, mówię, rodzajach takowego życia naszych bliźnich i naszego własnego, i o wymaganych przez nie trzech odpowiednich im rodzajach szczęśliwości, nie mamy, a przynajmniéj nie powinniśmy mieć żadnéj wątpliwości, ale o rodzaju czwartym tegoż życia i téjże szczęśliwości, może zachodzić w naszym umyśle, choć nie w duszy, jakoweś powątpiewanie. Łatwo jednak pozbędziemy się go, gdy się oprzeć będziemy chcieli w téj mierze na tak pewnéj zasadzie, jaką jest znana zasada najczystszéj religii „po owocach ich poznacie je,“ i najzdrowszéj mądrości „po skutkach poznają się przyczyny.“

Owoce zaś, czyli skutki takowego naszego i naszych bliźnich życia, są niewątpliwie odmienne i nieskończenie wyższe od owoców czyli skutków życia roślinnego, żyjątkowego, a nawet zwierzęcego: bo *Rośliny*, *Żyjątka* i *Zwierzęta* nie zajmują się pielęgnowaniem innych istot, oprócz podobnych so-

bie, a przynajmniéj nie zajmują się niém i zajmować nie mogą, z takich jak my *Ludzie* pobudek, to jest z pobudek prawdziwie boskich, czyli odnoszących się do sprawy dobra powszechnego, będącéj i naszą ludzką sprawą, jako sprawą istot stworzonych na obraz i podobieństwo boże i nie nadaremnie chcących się tém zaszczycać. Z tego powodu życie to czwarte naszych bliźnich i nasze własne i będąca jego owocem szczęśliwość, nazywaną jest w owéj boskiéj naszéj mowie trwałą niebiańską *radością*, któréj doznaje każdy z nas niewątpliwie, zajmując się takowém i z takowych pobudek pochodzącém pielęgnowaniem, przynajmniéj owych słabych, niewinnych i najpożyteczniejszych, bo będących środkiem do życia wszechstronnego, ludzkiego i ono nad wszystkie inne rodzaje przedłużających — naszych spółstworzeń, a z niemi i spółbliźnich. (*d. c. n.*)

MŁODOŚĆ FRANKLINA

syna Lampiarza.

Zajmującą jest rzeczą poznać młodość tego sławnego męża, którego życie może być wzorem dla wszystkich stanów. Benjiamin Franklin urodził się w 1706 roku w Ameryce, w Nowéj Anglji. Rodzina jego była liczną, lecz biedną, uczciwą i pracowitą. Ojciec jego był prostym lampiarzem, i myślał, że z niego, jak z innych synów będzie poczciwy fabrykant, lecz poznawszy w nim chęć do nauki, chciał go wyświęcić na księdza; w tym też celu oddał go do szkoły, gdy miał 8 lat. Niedługo potém widząc, że wychowanie Benijamina za drogo go kosztuje, odebrał go ztamtąd i umieścił w szkole, w któréj tylko uczono czytać i pisać. Wyszedłszy z téj szkoły, wziął się do rzemiosła swego ojca, lecz z powodu chęci do nauk, nie mógł okazać żadnych w niém postępów. Wolny czas przepędzał na czytaniu książek i przeczytał całą bibliotekę ojcowską, którą kupił za swoje własne pieniądze.

Rozumny ojciec nie chciał się sprzeciwiać skłonnościom syna, oddał go do drukarni. Dostawszy się do drukarni miał lat 12; a zaprzyjaźniwszy się z księgarzami, otrzymywał książki do czytania.

Niekiedy między temi książkami dostawała się do niego książka wierszem; to go zachęcało do naśladowania i napisał dwa wiersze, które brat jego wydrukował. Z Franklinem był w przyjaźni niejaki Kollins, z którym dla zabawy prowadził korrespondencję, czyli listowne rozmowy. Benijamin odznaczał się rozumem, a przyjaciel zaś jego obrotem i wyborem artykułów.

Ojciec Benijamina zauważył jego niedostatki i wyższość nad nim przyjaciela jego. Benijamin poczuł całą sprawiedliwość tych uwag i dał sobie słowo nabyć to, co mu brakowało.

Wstrzemięźliwość Benijamina w pokarmie i przyjemnościach, dawała mu możność zbierania pieniędzy i za niekupowania książek, których nie mógł pożyczyć u nikogo ze swoich przyjaciół, a które były dla niego jedynym rodzajem wykształcenia się. Takim sposobem bez wszelkiéj pomocy, oprócz książek i pilności, nabył znajomości w naukach, które przeznaczony był w potomności udoskonalić.

Taka była młodość tego znakomitego męża, który potém należał do pierwszych uczonych, zajmował pierwsze miejsce w państwie i był wybranym obrońcą praw swojéj ojczyzny przeciw drugim narodom. (Jemu to winniśmy wynalezienie owych prętów magnesowych, czyli konduktorów, które obwodzą dachy domów, zciągając elektryczność, czyli gromło piorunowe, w czasie burzy i przez to ochraniając domy od nieszczęść. Takiemi konduktorami jest téż obwiedziona np. wyniosła owa wieża klasztoru Częstochowskiego na Jasnéj-Górze.—(*Przyp. Red.*)

Takie było wychowanie Franklina, który chociaż był jednym z pierwszych dostojników państwa, jednakże nie przestawał daléj swój umysł oświecać. *S, F. Cohn.*

MYŚLI.

Taki majątek prędko wezmą kaci,
Który był zrobion krzywdą sióstr i braci.

— Dziś, panie-tego, o samych mędrcach i królach będę opowiadał państwu, bom się znowu w starych książkach dożo różności naczytał. Wódz Macedoński Antygon co to żył 2,200 lat temu w Azyi, prosił zawsze swoich bałwochwalskich bogów, ażeby go ochroniły od jego przyjaciół, — a jeden dworzanin zapytał go: czemu nie prosi o ochronę od nieprzyjaciół? Na to odpowiedział: ,,Że dla tego, iż łatwo się zabezpieczyć od zasadzek swoich nieprzyjaciół, bo się tego można spodziewać; ale nie tak to łatwo ustrzedz się przyjaciół, bo się im we wszystkiem zawierza.“— —Ja znowu, co prawda, choćem nie filozof, ale tylko Podlasiak z dziada pradziada, na to się nie piszę w całkowitości: bo można czasem znaleść choć jednego przyjaciela w życiu, co nie stawia na człeka potrzasku; ale wielu takich serdecznych przyjaciół to przyrównałbym, co prawda, do wróbli, co się cisną gwarnie i wesoło do drzewiny, jak ma smaczne wiśnie na sobie, ale jak ich zbraknie, to zaraz odlecą i jeszcze pokalają drzewo w dodatku.



Kmotr Gabryś.

— A oto znowu: jeden książę Japoński żartował sobie ze swego dworzanina: że ile go razy wysyłał gdzie z poselstwem, to zawsze się wołem pokazał. Na to rzekł dworzanin: ,,Nie wiem ci ja, jak wyglądam, ale to tylko pewno, że miałem zaszczyt waszą książęcą mość przedstawiać przy wielu sposobnościach.“

— Jeden znowu bogaty głupiec, w całem znaczeniu, zarzucał greckiemu wodzowi, za dawnych czasów, że pochodzi z niskiego rodu. ,,Tak, prawda, ja będę pierwszym w moim rodzie—odpowiedział wódz—ale ty będziesz ostatni w twoim.“

— Ba! ależ to ja miałem mówić o mędrcach, a tu aż spadłem do głupca. To téż się poprawię. Oto znowu przyjaciele Sokratesa, zapewne ci sami, co mu to potem kazali truciznę wypić, udawali raz przed nim zagniewanych na jakiegoś grubijanina, którego Sokrates powitał, a tenże mu się nie odkłonił. Na to rzekł Sokrates: ,,O co się tu gniewać? czy o to, że ten człowiek nie jest tak grzecznym jak ja.“

— A inny jeszcze mędrzec grecki nazwiskiem Bias, płynąc raz okrętem po Śródziemnem-morzu w czasie straszliwéj burzy i bicia piorunów, wraz z ludźmi bardzo złymi, którzy płaczliwie przywoływali pomocy bogów, rzekł: ,,Ależ co robicie? uciszcie się, moi kochani! żeby was właśnie bogowie nie dostrzegli, że tutaj, wy ptaszki! jesteście.“

— A jeszcze w końcu muszę przeprosić kochanych państwa, żem się raz w tych moich kawałkach z prędkości pomylił, boć to ów Alexander wielki król Macedoński, nie żył 1,400 lat temu, ale aż 2,200, z górą—co prawda!

Zagadka.

Kto się to dwa razy rodzi, a raz umiera?

Znaczenie poprzednich Zagadek: *1) Mgła.—2) Śnieg.*

Od Redakcyi.

Zawiadamia się Szanownych prenumeratorów, że dla otrzymania *Zorzy* w 2-gim kwartale i następnie, lepiéj jest przesyłać pieniądze *wprost* do Redakcyi (Nr. 24, Nowy-Swiat), niż składać prenumeraty po Expedycyi Gazet w Warszawie lub po Stacyach Pocztowych: albowiem przesławszy *wprost* do Redakcyi pieniądze, opłaca się ***kwartalnie*** tylko po ***kop. 62*** (złp. 4 gr. 4), a tymczasem po Stacyach należy opłacać ***kop. 85*** czyli (złp. 5 gr. 20), co na rok stanowi różnicę o złp. 6 gr. 4 więcéj.— Końcowe dopłaty można przesyłać do Redakcyi i markami pocztowemi.—

Jednak te osoby, które na Stacjach Pocztowych lub w Expedycji Gazet w Warszawie zaprenumerowały Zorzę, i złożyły tamże pieniądze w stosunku redakcyjnéj ceny, to jest tylko kop. 62 kwartalnie, raczą dopłacić po kopiejek 23 za ten pierwszy kwartał po tychże Stacjach, gdyż inaczéj Redakcya poniosła by ztąd szkodę, bo za same koperty kwartalnie odtrąconoby jéj kop. 37½ od każdego exemplarza,— a wedle przepisów pocztowych, w każdéj opłaconéj kopercie tylko jeden exemplarz może się mieścić.

Lecz powtarzamy, że za zniesieniem się *wprost* z Redakcją można otrzymywać na przyszłość Zorzę na prowincyi w stosunku opłaty po kop. 62 kwartalnie.

Redaktor i Wyd... Józef Grajnert, pod Nr. 24 (nowym) ulica Nowy Swiat. — W druk. I. Krokoszyńskiego.—

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.